

Śląska Biblioteka Publiczna

42563

II

LP.

# O TOWARZYSTWIE LWOWSKIM

PRZY SCHYŁKU XVIII STULECIA.

ODCZYT PUBLICZNY

WŁADYSŁAWA ŁOZIŃSKIEGO.



L W Ó W.

Nakładem księgarni Sayfartha i Czajkowskiego.

1872.

O TOWARZYSTWIE LWOWSKIM  
PRZY SCHYŁKU XVIII STULECIA.

72563

II



# O TOWARZYSTWIE LWOWSKIM

PRZY SCHYŁKU XVIII STULECIA.

ODCZYT PUBLICZNY

WŁADYSŁAWA KOZIŃSKIEGO.

---

L W Ó W.

Nakładem księgarni Sayfartha i Czajkowskiego.

Z Drukarni Zakładów Narod. imienia Ossolińskich  
pod zarządkiem dzierżawcy Alex. Vogla.

1872.

O mieście Lwowie wyrzec można z wszelką słuszością, że dopiero wśród katastrof bijących w Rzeczpospolitą polską, dopiero w czasach jej opłakanego upadku, w smutnej epoce podziałów, poczęło przybierać cechę stołeczną, otaczać się powabem wielkomiejskiej świetności, uderzać barwniejszym i wyższym ruchem towarzyskim. Za dawniejszych czasów Lwów zawsze bardzo skromną odgrywał rolę, ograniczając się jedynie do tego miernego znaczenia, jakie przypada podrzędnej prowincjonalnej stolicy.

W ostatnich czasach istnienia Rzeczypospolitej berło stołecznej świetności piastowała wyłącznie Warszawa, skupiając w sobie wszystkie promienie życia politycznego, umysłowego i towarzyskiego; inne miasta główne Polski, nie wyłączając nawet starej stolicy Jagiellonów,



pograżone były w jednostajną ciszę i nie miały ożywionej fizyognomji społecznej. Ze wszystkich atoli miast większych, nasza stolica Rusi najsmutniejszą była może i najcichszą. Ożywiała się ona raz tylko do roku, w czasie kontraktów, na których bywało rojno i głośno. Gdy termin kontraktów minął, zalegała w mieście napowrót cisza i jednostajność podrzędnej, prowincjonalnej stolicy, nie przerywana ani publicznymi festynami, ani zabawami prywatnymi, ani choćby maleńką częścią owego żywego i burzliwego towarzyskiego ruchu, jakim zdumiewała i nęciła wówczas Warszawa, ta pani mody i elegancyi, stolica wytworności i ognisko nieprzerwanych zabaw i festynów.

Jakoż Lwów, nieznaczny i głuchy dawniejszemi czasy, dopiero w ostatnich latach Rzeczypospolitej, dopiero przy samym schyłku XVIII w., zaczyna być głośniejszym, zaczyna odgrywać rolę stolicy i nabierać powabów ruchu towarzyskiego. Pierwszy podział Polski zmienia go w stolicę polityczną ziemi, która oderwana od ojczyzstego organizmu, stanowić miała odrębną zupełnie prowincję austryackiej monarchji. Odtąd dopiero datuje się jego wzrost jako wielkiego miasta i stolicy.

Że był poprzednio miastem bardzo skromnem, jeżeli nie nędznem, tego nie tylko dowodzi liczba ludności jego, która podczas pierwszego rozbioru mało co przenosiła 30.000, ale wymowniej jeszcze ta okoliczność, że nowy rząd austriacki wahał się przez czas niejaki, czyli stolicą nowo powstałej Galicyi i Lodomeryi zrobić Lwów czy Jarosław. Panu hofratowi Kotzian, który w końcu rozstrzygnął tę kwestyę, zawdzięcza Lwów swe stołeczne stanowisko w prowincyach, zakordonowanych przez Austryę.

Już to samo wpłynęło oczywiście na wzrost i ruch miasta. Będąc stolicą administracyjną i polityczną nowego kraju, siedzibą gubernatora i władz najwyższych prowincjonalnych, Lwów stał się koniecznem ogniskiem tysiącznych spraw i interesów dla ludności świeżo zadekretowanej Galicyi. Sam już zresztą napływ Niemców do Lwowa, którzy częścią jako urzędnicy, częścią zaś jako wolontaryusze, w ogromnej stosunkowo liczbie garnęli się do rewindykowanego kraju i opierali się głównie o nową jego stolicę, musiał ożywić w wysokim stopniu ruch jego ludności i urozmaicić jego fizyognomję towarzyską.



Była też ta fizyognomja dziwnie jaskrawa, dziwnie oryginalna, i w smutny sposób charakterystyczna. Tu się najpierw zaczęły łamać dwa światy, świat niemiecki i polski, tu po raz pierwszy starły się dwa systemy: swobody posuniętej do samowoli i absolutnego rygoryzmu biurokracyi; tu po raz pierwszy spotkał się szlachcic polski z krajshauptmanem, butny i dumny magnat z władzą nieznającą oporu; tu stanęły najpierw naprzeciw sobie takie dwie osoby, reprezentujące dwie ostateczności, dwa prawdziwe kontrasty, jak np. pan wojewoda kijowski i pan hrabia Pergen, pierwszy pełnomocny komisarz austriacki w Galicyi.

Zaludniwszy się ogromną liczbą najrozmaitszych funkcjonaryuszów nowych rządów i całym zastępem przybyszów niemieckich, których nie urząd ale widoki spekulacyi i ochota polskiego chleba i polskiego złota powoływały do Galicyi, roił się dalej Lwów od szlachty, której nigdy może w takiej ilości poprzednio nie oglądał. Wraz z nowym rządem i nowemi władzami przybywało mu znaczenie stolicy, w której każdy niemal zamożniejszy szlachcic miewał do załatwienia mnóstwo interesów nie



zawsze przyjemnych ale zawsze koniecznych.

W krótkim też bardzo czasie Lwów pozornie przynajmniej ożywił się i powiększył prawie do niepoznania. Ci, co go ostatni raz widzieli jeszcze jako miasto prowincjonalne Rzeczypospolitej, a teraz zwiedzali go jako stolicę Galicyi i Lodomerji, dziwili się jego odmianie, powstałej z zanadto smutnych przyczyn, aby mogła podobać się lub cieszyć Polaka. To też Xiądz biskup warmiński, gdy w kilka lat po pierwszym rozbiore Polski przejeżdżał przez Lwów wracając z okolic swych rodzinnych, krótkim ale trafnym i żałosnym wierszykiem określił odniesione tu wrażenie. Według słów Krasickiego Lwów był teraz :

I wspanialszy i ludniejszy,  
Jednak przedtem choć był mniejszy,  
Choć mniej ludny, mniej kształtniejszy,  
Że był swoim, był wdzięczniejszy !...

Jeżeli jednak już zaraz w pierwszych latach po pierwszym rozbiore Polski Lwów stał się większym i przybrał bardziej stołeczną, bardziej ożywioną i bardziej ruchliwą fizyognomję, to fizyognomja ta jego społeczna i towarzyska nieskończenie bardziej jeszcze stała się urozmaiconą, barwną i oryginalną, gdy w pozostałej jeszcze wolnej Rzpltej odgrywać się



poczęły ostatnie sceny strasznego dramatu, zakończone katastrofą zupełnego upadku. Po pierwszym bowiem podziale kto mógł tylko, opuszczał Galicyę, i udawał się na pobyt stały lub przynajmniej dłuższy do wolnej jeszcze i niezawisłej reszty Polski — a mimo ogromnych grzywn, mimo surowych kar i rygorów, któremi zapobiegał temu rząd austriacki, wiele zamożniejszej szlachty opuszczało dobra swe galicyjskie i zamieszkiwało w granicach Rzpltej. Później wszakże, gdy obszar wolnej Polski ścieśnił się bardziej jeszcze, gdy w końcu nie było już żadnego kącika na polskiej ziemi, w którymby można było odetchnąć wolnem powietrzem, w czasach ostatniego podziału, mnóstwo pojedynczych osób i rodzin całych z innych ziem polskich przybywało do Lwowa, zwiększając ludność jego i ożywiając w wysokim stopniu ruch jego towarzyski.

Chroniono się przed burzą wojenną, przed uciskiem Rossyi i Prus, przed nieładem i niebezpieczeństwami nowej okupacyi do Galicyi, a chroniono się do niej tem chętniej, raz że w ogóle miano dobre wyobrażenie o ludzkości rządów austriackich, powtóre, że Galicya mając za sobą w owej porze już dwadzieścia

przeszło lat obcego panowania, miała już uregulowane stosunki i jeżeli nie dawała swobody, bo tej już nie starczyło nigdzie na polskiej ziemi, to dawała przynajmniej jaką taką rękojmnię ładu i bezpieczeństwa. To też najbardziej ludnym, najbardziej urozmaiconym i ożywionym był Lwów w czasach, kiedy wśród ostatnich płonnych wysiłków obrony dokonywał się ostatni podział Polski.

To co tu opowiedzieć będę miał zaszczyt, nie ma pretensyi do dokładnego obrazu towarzystwa lwowskiego tej pory. Zanadto ono było zmienne, zanadto ruchliwe i rozmaite, abym obraz taki pomieścić mógł w ramach jednogodzinnego odczytu. Ograniczyć się muszę jedynie do pobieżnego szkicu, skreślonego w najogólniejszych zarysach, do charakterystyki krótkiej towarzystwa lwowskiego w ostatnich kilkunastu latach ubiegłego stulecia.

Nim się przypatrzymy wybitniejszym objawom i oryginalniejszym typom i figurom towarzystwa samego Lwowa, rzucę przynajmniej słówko o tych domach i dworach znakomitszych, które położone w najbliższem sąsiedztwie stolicy, niejako w ramy jej wchodziły. Jeżeli w porze owej, o której mówimy, nie

brakło jeszcze mimo austryackiej okupacyi w tej prowincyi polskiej dworów szlacheckich na skalę staropolską urządzonych, jak np. dwór p. starosty Olchowieckiego Kōziebrodzkiego w Chociemierzu, Państwa starostwa Ponińskich w Zahajpolu, pana łowczego koronnego Bielskiego w Pieniakach, itd. — to i w bezpośredniem pobliżu samegoż Lwowa spotykamy w owym czasie liczne domy znakomite, które bądź to same były ogniskami towarzyskiego życia, bądź to zasilają ruch towarzyski miasta.

Były to domy wybitne i charakterystyczne, utrzymujące jeszcze oryginalną tradycję dawnego polskiego życia w najciekawszych jego objawach, nadające społeczeństwu owej pory tem więcej barwy i wyrazu, że odbijały od tła nowych, a smutnych stosunków kraju. I tak w *M a l c z y c a c h*, niegdyś własności głośnego xięcia podkomorzego, Kazimierza Poniatowskiego, przebywał w owym czasie pan Szepetycki, kasztelan przemyski, w *Przestrzelcach* miał dwór swój p. Mierzejowski, strażnik polny koronny, w *Lubieniu* mieszkała Anna z Rzewuskich Humiecka, miecznikowa koronna, w *Krzywczycach* p. Potocki, podkomorzy koronny, w *Winni-*

kach bawiła pani Marya z Potockich Tarłowa, słynna z cnót i wykształcenia zarazem, przyjaciółka owej sławnej z uczoności swej xieżnej Jabłonowskiej, w Kłodnie spotykamy ludny dwór p. Piotra Branickiego, kasztelana Braclawskiego, w Jaryczowie słynnego z awantur i przygód p. Gozdzińskiego, wojewodzica Podlaskiego, o którym w odczycie tym osobno jeszcze wspomnieć mi przyjdzie, w Siemianówce p. Pelagji Potockiej, kasztelanowej lwowskiej, w Bóbrce p. Krasińskiego, oboźnego koronnego, w Milatyczach p. Ponińskiej wojew. poznńskiej.

Były to postacie, dawną staropolską epokę przypominające, już może nieco obce w tej porze a przynajmniej w stolicy galicyjskiej, od której napływowej lub modnej ludności odbijały swą oryginalną typowością. Na tem też polegał jeden z głównych powodów barwności i malowniczej charakterystyki społeczeństwa ówczesnej pory, że spotykało się w niem dwa odrębne światy, dwa jaskrawe kontrasty: nowożytną, zachodnią cywilizacyę i formy dawnego sarmatyzmu. Zacznę od wyliczenia kilku takich właśnie figur z towarzystwa lwowskiego



owej pory, które należały jeszcze do lepszej i szczęśliwszej epoki, które już wówczas stały niejako na gruzach tego dawnego świata, licząc się niejako do Mohikan staropolskich form i wyobrażeń.

*A tout Seigneur tout honneur!* Pierwszeństwo należy się szlachetnej i znakomitej postaci starca, osiwiąłego dostojnika kościoła, ówczesnemu arcybiskup. lwowskiemu, Sierakowskiemu. Xiądz arcybiskup stanowiskiem, cnotami wysokimi, charakterem nieskazitelnym przewodził długi czas, aż do zgonu swego, wszystkim tym, którzy składali się we Lwowie na towarzystwo poważne. Był to mąż rzadkiej pobożności i pięknych przymiotów duszy, a cieszył się głębokim szacunkiem i zaufaniem nie tylko we Lwowie i Galicyi, ale i w całej Polsce. Najlepszym i najwymowniejszym tego dowodem było, że xiądz Sierakowski co chwila proszonym bywał na rozjemcę sporów najdrażliwszych i najuporczywszych. Bywał on nieraz instancją ostatnią w zwadach, które środkami prawa nie dały się załatwić, a wyrok jego niemal zawsze znachodził poszanowanie. Powadził się np. srodze pan wojewoda Mostowski z xięciem generałem Czartoryskim, to wy-

czerpawszy wszelkie środki, udawali się po sąd  
 polubowny, z Francyi nasyłając listy xiędzu  
 arcybiskupowi; powstał gorszący spór w ło-  
 nie jakiej znakomitej rodziny — a w owych  
 czasach i przy osławionem podówczas pienia-  
 ctwie galicyjskiem, nie było to rzadkim wy-  
 padkiem — szukano ratunku u xiędza arcybi-  
 skupa; niemogli dójść końca dwaj procesujący  
 się szlachcice w lwowskich trybunałach, a do-  
 kuczył im już proces do żywego, zdawali się  
 na bezstronny sąd xiędza arcybiskupa. Jako  
 Polak i senator Rzeczypospolitej xiądz arcy-  
 biskup Sierakowski umiał wobec nowych  
 rządów zachować szlachetną dumę i ową go-  
 dność, z którą niestety w owych czasach roz-  
 mijano się zbyt często. Podczas gdy inni zna-  
 komici obywatele galicyjscy z nieco przesadną  
 skwapliwością spieszyli się z skarbieniem so-  
 bie łask u nowego rządu i składali czoło-  
 bitność swą p. hrabiemu Pergen, pierwszemu  
 gubernatorowi Galicyi, xiądz arcybiskup Sie-  
 rakowski zachował stanowisko, czyniące za-  
 szczyt zarówno jego godności senatorskiej jak  
 patriotycznemu uczuciu. Hrabia Pergen, pan  
 samowładny rewindykowanego kraju, wielce  
 był obrażonym, nie widząc u siebie arcybi-



skupa i daremnie czekając na jego poddańczą wizytę. Żalił się o to aż przed cesarzem w Wiedniu, oskarżając arcybiskupa o wygórowaną dumę i krnąbrność wobec rządu.

Słodyczą charakteru, wykształceniem, gościnnością, wyszczególniał się dalej w towarzystwie lwowskiem p. wojewoda bełzki, I g n a c y Cetner. Była to postać typowa, lubiana i poważana przez wszystkich. Dobroć jego weszła w przysłowie. Mieszkał najczęściej we Lwowie, szukając w towarzystwie ludzi wykształconych osłody wśród dolegliwości domowych. On to był jednym z pierwszych, który zachęcał młodego podówcza Karpińskiego swojemi radami i życzliwością. Zapałony miłośnik kwiatów, im połowę życia swego poświęcał, a gdy szło o przepyszny bukiet z rzadkich kwiatów dla którejś z nadobnych elegantek lwowskiego wielkiego świata, natenczas ostatnia ucieczka bywała do pana wojewody Cetnera. O dobroci i słodczy charakteru pana wojewody opowiadano sobie najrozmaitsze anegdotki we Lwowie. Karpiński opowiada o nim, że ludzie, z którymi miał interesa, wiele mu przykrości i zmartwień wyządzali, nadużywając jego dobroci, i że p.

wojewoda zwykle po nieprzyjemnych konferencyach z swymi kredytorami do poblizkiego gabinetu wychodził i dopiero po chwili do zgromadzenia powracał.

„Raz przez ciekawość wszedłem za nim do tegoż gabinetu — opowiada Karpiński — i znalazłem go spłakanego przy nogach krucyfiksa, a kiedy go cieszyć zaczął, on mi odpowiedział: „Przy tych nogach mam zawsze najpewniejsze pocieszenie, a ten który mi dopiero tak ostro publicznie gadał, bućki mu niegdyś sprawiałem, do szkół go dawałem, bo był synem mego ekonoma i w mojej służbie spanoszył się.“

Jako zamiłowany bōtanik wojewoda był znakomitością, a gdy cesarz Józef założył wszechnicę we Lwowie i przy niej ogród botaniczny urządzić polecił, udawał się z prośbą do Cetnera, aby znawstwem swem i roślinami swego własnego ogrodu zakład naukowy poprzeć zechciał.

Do dalszych wybitnych figur, ale wprost w przeciwnym kierunku jak pan wojewoda bełzki, należał p. wojewodzie podlaski, J ó z e f G o z d z k i. Postać tego człowieka maluje się w awanturniczy sposób na tle ówczesnego

lwowskiego towarzystwa. Lwów miał zawsze coś do opowiadania o nowym jakimś wybryku pana Gozdzkiego, którego buty, i niesfornej, awanturniczej burzliwości nie mogły nigdy poskromić nawet surowe władze austriackie, które nie bardzo łagodnie postępować były zwykły wobec szlacheckiej swawoli.

Pan Gozdzki miał już za sobą żywot bardzo burzliwy i awanturniczy, nim osiadł pode Lwowem, a do dawnych przygód i szaleństw, których się dopuszczał, dodawał tu nowe. Postępowanie jego zbliżało go do głośnego z swych burd zawadyackich p. starosty Kaniowskiego; trzeba atoli przyznać, że Gozdzki w wybrykach swoich był zawsze szlachetniejszym i nigdy nie dopuszczał się bezprawiów lub brutalstwa. Jego zuchwała *affera* z marszałkiem Bielińskim, jego awanturnicze przygody w wojsku pruskiem, jego atak na Kamieniec podolski, którego dobył z towarzyszami szturmem, mając urazę osobistą do komendanta Kuczyńskiego, jego zajścia komiczne z p. Kossakowskim, jego słynne pojedynki z Korffem, Wajmarnem i z wojewodą pomorskim Łosiem, jego formalna wojna z p. starostą Kaniowskim, którego pobił, armaty

odebrał i do przyjęcia traktatu pokojowego zmusił — wszystkie te przygody datowały się jeszcze z czasów przedaustriackich; jednakże i po objęciu władzy przez Niemców p. Gozdcki nie umiał usiedzieć cicho. Pełny był Lwów opowieści o nowych awanturach pana wojewodzica podlaskiego. Pozawczoraj p. Gozdcki z kancelaryi urzędowej wyrzucił pana gubernialratha Guicciardiego, wczoraj awanturę wyprawił z Niemcami w teatrze, dziś dowcipną mistyfikacją komuś narobił kłopotu — a o wszystkim tem rozprawiano sobie z upodobaniem. Ale ten pan wojewodzie miał serce szlachetne i należał do najzaciejszych patryotów owego czasu. Gotów zawsze do ofiar i poświęceń dla kraju, popierał z najusilniejszą gorliwością powstanie Kościuszkowskie, nie dbając o groźby i kary austriackich urzędów. Był on duszą tego, co się podówczas robiło we Lwowie dla sprawy narodowej.

Dziwnym zbiegiem kontrastów p. wojewodzie Podlaski przy zawadyactwie swoim, przy awanturniczności i gwałtownej, niesfornej bucie szlacheckiej z rzewnem zamiłowaniem poświęcał się muzyce. Grywał na skrzypcach i według zdania społecznego do wysokiej miał dójść



biegłości. Grywał też często duety z p. jen. Wielhorskim, który także był muzykiem, i przebywał stale we Lwowie -- a należało to do najciekawszych rzeczy dla towarzystwa lwowskiego, gdy w domu Mierów, Baworowskich, lub u p. Humieckiej mogło usłyszeć koncert odegrany przez tych dwóch panów.

Wyliczając najwybitniejsze postacie lwowskiego towarzystwa, czas najwyższy wspomnieć o dwóch głównych figurach możniejszych a otwartych domów, dwóch dyktatorach niejako modnego świata, którzy dzierżyli klucz do towarzystwa. Byli nimi Kazimierz Rzewuski i Michał Wielhorski. Obaj ci panowie wyobrażali już jednak świat nowych pojęć i zachodnią reformę obyczajów; byli reprezentantami francuskich manier, francuskiego skeptycyzmu i francuskiego tonu. Pan Kazimierz Rzewuski był zapalonym miłośnikiem wolno-mularstwa. Był to pierwszy farmazon we Lwowie. On tu niejako założył lożę wolnomularską p. n. Oryent Lwowski. Była to modna wówczas zabawka, a nietylko młodzi panicze ale i starsze osoby, zwiędzione powabem tajemnic loży i urokiem mistycznych form i obrzędów, ubiegali się o przy-



jęcie do związku braterskiego. Bez pana Kazimierza trudno się było inicjować, a tem trudniej dostać aż do samej łoży Salomona, co przecież niektórym głowom wydało się ogromnym zaszczytem. Posiadał p. Rzewuski także bibliotekę obfitą, z której atoli w owym czasie apatyi dla nauk i burzliwego życia mało kto we Lwowie korzystał. Była to jedyna może znaczniejsza biblioteka we Lwowie, do której miał przystęp każdy, gdyż p. Rzewuski był pod tym względem nadzwyczaj uprzejmym. Dopiero później przysłano z Wiednia bibliotekę *Garelliego*, którą rząd umieścił przy wszechnicy i oddał na użytek publiczny.

Towarzysz i przyjaciel p. Kazimierza Rzewuskiego, Michał Wielhorski, był typem zfrancuziałego Polaka. Wszystkie jego wyobrażenia były niepolskie, chociaż pod względem patryotyzmu nic mu zarzucić nie można. Posłował niegdyś od Konfederacyi Barskiej do Francyi, i tu przejął się duchem encyklopedystów; był też encyklopedystą duszą i ciałem. Zaprzyjaźnił się serdecznie z Janem Jakóbem Rousseau, któremu podał myśl napisania znanych *Uwag nad Polską*, poznał

osobiście najgłośniejszych ówczesnych francuzkich pisarzy; Mably'ego nawet, jak wiadomo, przywiózł z sobą do Polski, do Ochorowa. Nauką, a przynajmniej uniwersalnem wykształceniem, gładkością, dowcipem i stanowiskiem swem umiał Wielhorski nadawać ton całemu towarzystwu lwowskiemu, a komu nie wydał paszportu, ten nie łatwo znalazł przystęp do możniejszych i znakomitszych domów. Do takich zaś domów poważanych, zawsze gościnnych i otwartych, należały przede wszystkim domy państwa województwa bełzkich Potockich, pani miecznikowej Humieckiej, pani kasztelanowej Kamińskiej Kosakowskiej, hrabiów Mierów, hrabiów Baworskich, Dulskich, Zabielskich, Gołaszewskich, Olszewskich, Siemianowskich, Tarnowskich, gubernatora Urmenyi i t. d.

Najciekawszym może i najcharakterystyczniejszym z tych domów był dom p. Kosakowskiej, kasztelanowej Kamińskiej. Któż nie zna tej postaci kobiecej, tak oryginalnej i swego czasu głośniejszej?... Obdarzona niepospolitym dowcipem, ostrym, sarkastycznym, niekiedy nieco rubasznym, ale zawsze niemal trafnym, pani Kasztelanowa słynęła z swego



weredyctwa, z przycinków, satyrycznych uwag i jowialnych conceptów. Słusznie zauważył Lucyan Siemieński w swem krótkiem wspomnieniu o pani Kossakowskiej, że „w wieku Woltera, kiedy dowcip od Francuzów przyswojony stał się u nas chlebem powszednim, choć dowcipnych niewiast nie brakło zapewne po salonach, przecież one nie używały tej popularności, co anegdota i ucinki pani Kossakowskiej, nie umiejącej ani słowa po francuzku. Dowcip tej pani był polskim najczystszej wody i wiernem odbiciem staroświeckiego obyczaju, charakteru niezłamanego przeciwnościami, wysokiego religijnego uczucia, gotowego do ofiar w każdej potrzebie, zgoła wynikał z pierwiastków, z jakich dzisiejszy poeta złożyłby ideał matrony w przetwarzającym się do koła społeczeństwie.“

Komuż nieznana przynajmniej część dowcipów i ostrychprzymówek p. Kasztelanowej, bo wszystkich trudnoby było powtórzyć, właśnie z powodu zbyt rubasznego niekiedy jowializmu. Pani Kasztelanowa nie darowała nikomu, ani królowi, ani dostojnikom Kościoła, ani przyjaciółom swym i krewnym. Nie bała się nawet obcych głów ukoronowanych, pra-

wiła śmiałe słowa cesarzowej Maryi Teresie i Józefowi II, żartowała dotkliwie z gubernatorów galicyjskich, przycinała złośliwie Pergenowi, Hadikowi, Auerspergowi, nie mówiąc już o niższych urzędnikach niemieckich, którym dokuczała dowcipem swym w najdotkliwszy i najbezwzględniejszy sposób. Przycinków tych, sarkazmów, dowcipów możnaby cały tom zebrać.

Łatwo pojąć, jak wpływowe i wybitne stanowisko zajmować musiała w towarzystwie lwowskiem kobieta z charakterem, który dla wysokich zalet i prawości szanowano, i z dowcipem, którego znowu bano się straszliwie. Odstąpiwszy Stanisławów Protowi Potockiemu, pani Kasztelanowa stale przebywała we Lwowie. Mieszkała w pokojach kanonickich przy cerkwi św. Jura. Prowadziła dom bardzo gościnny i otwarty, a pokoje jej zawsze przepełnione były tłumem gości. Nietylko stałe towarzystwo lwowskie, ale wszyscy przejeżdżający przez Lwów z innych ziem polskich, spieszyli na górę św. Jura, aby ujrzeć i poznać tę niepospolitą kobietę.

„Pani ogromnej fortuny — mówi o jej bycie we Lwowie Siemieński — przytem bez-

dzienna, zajmowała taką pozycję, zwłaszcza od chwili gdy osiadła w Galicyi, że obok niej dla nikogo nie było już miejsca. Około jej osoby gromadziło się wszystko zacne, pokoje jej w pałacu przy św. Jurze we Lwowie stały się ogniskiem dobrego przykładu i wpływały na obywatelstwo krajowe, i z nich wychodził ton staroświeckiego obyczaju, chroniący od zepsucia i znikczemnienia. Można powiedzieć, że sarkastycznym dowcipem trzymała w ryzach to społeczeństwo, co lekko-myślnie dążyło do znicestwienia się w obojętności, w zbytkach, w ubieganiu się o niezaszczytne zaszczyty. Z jej śmiercią stracił Lwów równowagę. Wprawdzie jakiś czas świeciło się kilka osób używających powszechnej powagi; byli to ludzie żyjący jej natchnieniem, lecz nie dość samodzielni i wytrwali, aby kierować mogli opinią rozstrzeloną a raczej bezmyślną.“

Na pokojach pani kasztelanowej bywało zawsze pełno. Rozprawiano tu najgłośniej o sprawach publicznych, bo pani Kossakowska była zawsze gorliwą Polką i obywatelką. Dom jej poważnym tym, staropolskim nastrojem odbijał od innych głośnych domów lwowskich,



w których bawiono się bardziej wesoło i elegancko, bardziej swobodnie i po modnemu. Słynne były owego czasu we Lwowie postne obiady u pani Kossakowskiej. Mawiała ona, że dla tego je głównie urządza, iż wraz z Niemcami przybył do Lwowa zdrożny zwyczaj, lekceważenia praktyk religijnych i przepisów kościelnych co do postu. Pragnęła więc, aby każdy kto nie prowadził własnego domu, a nie mógł w restauracjach lwowskich dostać w pewne dnię postnego jadła, znalazł u niej stół gościnny. Jakoż cały Lwów niemal uczęszczał na obiady postne do świętego Jura, nietyle zapewne dla ryb co dla dowcipu i jowialnej konwersacyi pani Kasztelanowej, która umiała wybornie bawić swych gości, nie szczędząc jednak nikogo, kto miał nieszczęście narażać się jej czemkolwiek. Na tych obiadach postnych można było spotkać całe niemal towarzystwo lwowskie; ludzi rozmaitego stanu i powołania. Na nich to spotkać można było i tyle sławnego później Żółkowskiego, jeniałnego komika i dowcipnego wydawcę *Momusa*. Był on w tym czasie pisarzem w kancelaryi znakomitego lwowskiego mecenasa p. Dzieńzkiego, którego później opu-

ścił, aby się przenieść do Warszawy, którą później przez tyle lat bawił swoim niewyczerpanym humorem i niepospolitą werwą komiczną. Przyszły autor *Momusa* tu najpierw z swojemi conceptami występował, zachęcany może dowcipem pani Kossakowskiej, o której obiadach mawiał: „Pani Kasztelanowa zawsze z postem, bo ma olej w głowie.“

Bało się towarzystwo lwowskie pani Kasztelanowej jak ognia. Nie było nikogo, komuby nie przypięła łątki, nie wytknęła dowcipnie wady jakiej lub śmieszności.<sup>1</sup> Powtarzano też sobie skwapliwie jej uszczypliwości po wszystkich domach. Najbardziej wszakże dokuczała pani Kasztelanowa niektórym elegantkom lwowskim, niepamiętnym na nieszczęścia kraju, oddanym zabawom, zbytkom i modzie. Kiedy według najnowszej mody damy lwowskie poczęły nosić suknie z wysokim bardzo stanem i fryzurę spadającą na skronie i zakrywającą niemal całe czoło — pani Kasztelanowa zaraz dotkliwie i z bardzo złośliwym sarkazmem wyszydziła tę modę, mówiąc przy jednym z swych wielkich obiadów, że „elegantki lwowskie są bez stanu i bez czoła.“. Pani Kossakowska, ubrana w robro-



nie, w kornecie i z dużemi angażantami z brabanckich koronek, przyjmując u św. Jura gości według staropolskiego magnackiego tonu — odbijała już od tła towarzystwa lwowskiego, które było modne, eleganckie i zatarło już na sobie tradycyjne rysy polskości w obyczajach i zwyczajach. Około pani Kossakowskiej grupowały się same sędziwe, poważne i staropolskie matrony, jak np. miecznikowa koronna Humiecka, pani wojewodzina bełzka, pani łowczyzna Bielska, ta sama, o której opowiada Karpiński, że gdy podczas smutnego obrzędu homagialnego, pierwszy gubernator Galicyi, hr. Pergen, przyjmując przysięgę wiernopoddaną, siedział przy wielkim ołtarzu w katedrze na krześle z głową nakrytą, ona będąc na tej uroczystości łzami bóleści oblana, nie mogąc powstrzymać żalu i oburzenia głośno zawołała: „Czemuż Waćpan nie idziesz i temu... Niemcowi kapelusza z głowy nie zrzucisz?!“ Karpiński, młody jeszcze podówczas bardzo, zerwał się natychmiast, aby spełnić rozkaz pani Bielskiej — zreflektował się jednak dość wcześnie i wstrzymał od tego szalonego kroku.

Jak już powiedziałem, dom pani Kossa-

kowskiej stanowił pod niejednym względem poważny wyjątek w życiu towarzyskiem lwowskiem. Życie to bowiem nie zawsze było umiarkowane, nie zawsze szło w parze z smutną bardzo sytuacją kraju i całej ojczyzny. Przeciwnie głośnym był podówczas Lwów z szalonej ochoty do zabaw, z płochości, swawoli i zepsucia. Życie towarzyskie tego czasu było nieprzerwanem pasmem uciech, zabaw i balów. Gdy zważymy, że działo się to w chwili, kiedy Polska upadała pod ostatnimi ciosami, w przedjutrzu ostatniego podziału, wśród straszliwych katastrof, rozbicia i klęsk powszechnych — wesołość ta i nadużycie zabaw przedstawia się nam w dziwnie smutnem świetle. Boję się tu nawet pójść za przykładem świadków i uczestników tego życia i użyć ich własnych słów do scharakteryzowania ówczesnego życia lwowskiego, nie wątpię bowiem, że obraz taki sprawiłby nieprzyjemne wrażenie. Powtórzyć się tu ośmielę tylko najłagodniejszy sąd jednego z uczestników tego życia, który w pozostawionym pamiętniku tak nam kreśli społeczeństwo lwowskie owej pory. „Lwów nigdy nie słynał z ostrości obyczajów — powiada ów świadek



i uczestnik zabaw lwowskich, Jan Duklan Ochocki — ale wówczas wszystko było rozprężone... Puściłem się w otchłań, bo we dwudziestym szóstym roku trudno być wstrzeмиężliwym wśród ogólnego rozprężenia... Gra szczęśliwa tak podniosła moje finanse, że w miesiącu miałem własną moją karete z parą bardzo pięknych angлизowanych koni, konia wierzchowego, drugiego pod masztalera, kamerdynera, stangreta i dom na stopie najprzyzwoitszej... Pograżony w bałwanach tego burzliwego morza, wyznać muszę ze smutkiem, zapomniałem o rodzinie i o obowiązkach moich... Nie miałem, ktoby mnie opamiętał... Byłem jak Telemak na wyspie Kalipsy, ale mi brakło Minerwy w postaci Mentora, któryby wypchnąwszy z tej ziemi czarów, gwałtem do swej nawy zapędził"... „Tu mimowolnie zastanowić się muszę—mówi dalej nasz świadek — zwracając uwagę na to, że przed niedawnym jeszcze czasem, świeżo będąc w Warszawie, całe innego ducha, obyczajów i zajęć byłem świadkiem... Tu we Lwowie, chociaż napływ Polaków ze wszystkich stron był niezmierny, tak, że do najciaśniejszego kątku całe zalał miasto, i zda-

wało się, że wszystkie prowincye słowo sobie dały, tu się zgromadzić; chociaż zbiorowisko to składało się z osób najmajątniejszych, najlepiej wychowanych, najlepiej wykształconych, i najwyżej stojących, nikt nawet o klęskach ogólnych, o kraju i sytuacji jego nowej nie podniósł głosu, ust nie otworzył; zdawało się, że po za nami niebyło żadnej przeszłości, żadnego jutra przed nami, nic coby opłakiwać można, nic czego by się trwożyć potrzeba, nic coby dokonać należało. Bawiono się bez końca i szalano, jak za dobrych czasów. Ale taka święta zgoda panowała w tym tłumie nienasyconych, taka miłość i jedność braterska, że chociaż we Lwowie blisko półtora roku przebyłem w tym odmiecie, nie spotkałem, nie widziałem żadnej kłótni, pojedynku, sporu lub awantury“.

Słynne były bale lwowskie, pikniki, re-duty. Najhuczniejszym, najgłośniejszym był Lwów w latach 1793—4, a więc właśnie w porze powstania Kościuszkowskiego. Zjazd był wówczas ogromny; ze wszystkich bowiem ziem polskich zjeżdżały się tu rodziny, szukając schronienia przed burzą wojenną, przed srogą okupacją rosyjską i przed pierwszymi nie-

bezpieczeństwami gwałtownego wywrotu. Bez pamięci na bolesne losy kraju, bawiono się z bezprzykładną lekkomyślnością. Nie było dnia podczas zapust, w którym by nie było balu, pikniku, reduty. Bale publiczne odbywały się z najokazalszą świetnością w tak zwanym Kasy nie Hechta. Dom ten istnieje dotąd we Lwowie. Jest to ów stary pałacyk przy ogrodzie Jezuickim, obok łązienek. W domu tym znajdowała się sala kontraktowa, klub, i sale balowe. Reduty zdumiewały swoją świetnością, bezlikiem eleganckich masek, i dowcipnemi mistyfikacyami. Odbywały się one w starym teatrze, którego dziś już niema śladu, a którego rysunek tylko zachował się na ściennych malowidłach w kamienicy niegdyś Hausnera, dziś muzeum hr. Dzieduszyckiego. Teatr ten był przerobionym z kościoła św. Krzyża, OO. Franciszkanów, co później stało się powodem bardzo sensacyjnego wypadku. Długo już grano w tym teatrze przerobionym i szalano na redutach w jego murach, gdy razu pewnego odkrył jeden z aktorów Bogusławskiego właśnie pod sceną trumny i szczątki ludzkich zwłoków. Przebudowanie kościoła na teatr odbyło się bowiem tak niedbale, że

niezaglądano nawet do sklepienia, na którym niegdyś stał ołtarz, a później scena. Odkrycie to sprawiło ogromne wrażenie we Lwowie, okazało się bowiem, że bawiono się ochoczo na grobach. Była w tym wypadku jakoby allegorya smutna i wzruszająca...

Podczas gdy wyższe warstwy towarzystwa lwowskiego miały bale domowe lub publiczne w kasynie Hechta, bawiła się ludność niższa w tak zwanej *Veteranische Mühle*, tj. w jednym z tych położonych w dole dworców, które spotykamy dziś po lewej ręce idąc ku Strzelnicy. Tu mieszczaństwo lwowskie, naówczas głównie z Niemców złożone, urządzało owe *bürgerbale*, o których tyle razy wzmiankuje w swych pamiętnikach Ochocki. Taka panowała płochość we Lwowie, taki nieumiarkowany szal do zabaw, że niektóre damy wysokiego stanowiska, chcąc utrzymać towarzystwo w przyzwoitej mierze, zawarły ligę przeciw wybrykom towarzyskim. Pani kasztelanowa Kamińska, p. miecznikowa Humiecka, pani wojewodzina Potocka i inne poważne matrony przy pomocy xiędza arcybiskupa Kickiego, następcy xiędza Sierakowskiego,



podjęły te szlachetne starania. Czy były skuteczne, o tem nie mam wiadomości.

Do zwyczajnych zabaw towarzystwa lwowskiego przybywały nadzwyczajne festyny i uroczystości, niestety przy niemiłych sposobnościach urządzone. Takimi uroczystościami były np. festyny homagjalne, wyprawiane kosztem rządu przez gubernatora, lub festyny przy zaprowadzeniu i otwarciu Stanów Galicyjskich w r. 1782. Uroczystość ta stanowa, pamiętna na długo w towarzystwie lwowskiem, bo zgromadziła we Lwowie całą najmożniejszą szlachtę kraju, rozpoczęła się dnia 11. Września 1782, a trwała przez 5 dni, będąc jednym szeregiem galowych obiadów i balów, które się odbywały w kamienicy Korytowskich, bezpłatnych redut, widowisk, ogni sztucznych itd., do których p. gubernator Brygido sprowadzał kunsztmistrzów z Wiednia.

Czasem znowu przybycie jakiegoś znakomitego gościa, jakiejs osoby głośniejszej i moźniejszej w Polsce do Lwowa, dawało powód do nowych festynów i zabaw, wzmagalo jeszcze bardziej już i tak żywy ruch towarzystwa lwowskiego. I tak książę wojewoda Karol Radziwiłł Panie Kochanku, kiedy przybył



w kilka lat po pierwszym rozbiórze Polski do Lwowa, wprowadził w ruch gorączkowy całą jego ludność i ożywił swoim dworem fizyognomię miasta w wysokim stopniu, na długo zostawując po sobie pamięć. Xiążę Panie Kochanku bawił tylko przez dwa tygodnie we Lwowie, ale przez ten czas cały Lwów był u niego gościem. Nigdy przybycie żadnego choćby najdostojniejszego gościa, nie wyjmując nawet cesarza Józefa II., nie poruszyło tak dalece Lwowa. Któż bowiem nie znał tej oryginalnej postaci, kto o niej nie słyszał wówczas mnóstwo najciekawszych i najdziwniejszych anegdotek, którym przesada dodawała jeszcze więcej uroku, któżby go nie chciał poznać lub widzieć przynajmniej?... Jakoż Xiążę Panie Kochanku tym razem nie zawiódł famy, która go otaczała, odbył bowiem wjazd oryginalny do stolicy galicyjskiej. Wjechał z okazałością królewską, wlokąc za sobą dwór liczny, a co najwięcej zajęło ludność, szereg wielbłądów i mułów, które dźwigały pakunki i przybory podróżne. Niezliczone tłumy witały xięcia na ulicach Lwowa, co żyło bowiem, wybiegło na jego spotkanie; z najdalszych okolic Galicyi nawet i z za kordonu

przybywała szlachta, by go we Lwowie powitać. Władze austriackie, podejrzliwe bardzo w owym czasie, postawiły mu zaraz straż wojskową, ale Xiążę Panie Kochanku wziął to za kurtoazyę i honorową odznakę; oficerów złotemi zegarkami, a żołnierzy pieniędzmi obdarował. Bawiąc we Lwowie Xiążę codziennie wyprawiał obiad wspaniały, a co wieczora bal i assamble. Ugościwszy tak wszystkich, wybrał się na odwiedziny do Żółkwi, dokąd z nim pojechało niemal całe towarzystwo lwowskie. W Żółkwi przyjmowano go jakby monarchę, kolegjata i całe miasto było oświetlone.

Ciche i skromne, ale za to bogatsze w piękne wrażenia były odwiedziny Tadeusza Kościuszki, który około r. 1792 zawitał do Lwowa. Pobyt jego wywołał wielką sensacyę w mieście, rozrywano sobie zwycięzcę z pod Dubienki. Ilekroć Kościuszko pokazał się na ulicy, towarzyszyły mu gromady ludności rade widzieć go i powitać. Niepodobało się to władzom austriackim i kazały mu wyjechać z miasta wcześniej niż zamierzał.

Ileż to innych jeszcze przewijało się po Lwowie postaci ciekawych, bawiąc w nim



króciej lub dłużej, wlewając nowe życie w ruch towarzyski, zajmując sobą przez pewien czas miasto całe! Właśnie w czasie, kiedy życie towarzyskie we Lwowie było najruchliwsze i najbarwniejsze, około r. 1794, przybył tu na dłuższy czas ów głośny xiążę Karol de Nassau-Siegen. Wówczas to całe życie koncentrowało się około tej niepospolitej choć awanturniczej postaci; fetowano go, goszczono, a każdy z znakomitych domów lwowskich ubiegał się o jego odwiedziny. I nie dziw że go sobie rozrywano. Sława jego, którą nadto nie pod jednym względem przesadzono, przygody jego tak dziwne i fantastyczne, lwia odwaga, niesłychana zuchwałość awanturnicza, zaszczyty wysokie, otrzymane od rozmaitych dworów europejskich — wszystko to czynić go musiało zaiste człowiekiem niewymownie ciekawym. Mogło teraz towarzystwo lwowskie poznać tego sławnego awanturnika i bohatera, który walczył z lwami maurytańskimi i koczował po skwarnych afrykańskich pustyniach, a w Nalibokach na Litwie xięciu Panie Kochanku niedźwiedzie powyrzelał, który odnosił zwycięstwa na dwóch morzach, zdobywał Gibraltar, był pre-

tendentem do udzielnego tronu, bił się z Szwedami i Turkami, kochał się w królowej wyspy Otahaiti, był grandem hiszpańskim i szlachcicem polskim, admirałem rosyjskim i pułkownikiem francuzkim.

Nie będę już wspominał bliżej o innych przelotnych gościach, które nie omieszczały oddziaływać na ówczesny ruch towarzyski we Lwowie, jak np. o pobycie sławnej pani de Witte, owej cudownie pięknej Greczynki, która mając już stosunek z Szczęsnym Potockim, bawiła we Lwowie w sprawach rozwo-  
dowych; nie będę wyliczał dalej wszystkich postaci mniej więcej oryginalnych, mniej więcej awanturniczych, które pojawiały się w owej porze na horyzoncie lwowskim, jak np. osławiony kawaler Kawaler de Seingalt, który tu uciekł po głośnym swym pojedynku z Branickim; jak Walicki, postać zagadkowa, fantastyczna, olśniewająca bogactwem i przepysznym zbiorem brylantów, jak Aureli Fessler, exkatolik, exkapucyn, profesor przy wszechnicy lwowskiej, który bawił się nie wykładami teologii, do czego go po-  
wołano, ale urządzaniem łoż wolnomularskich, a który dawszy do odegrania na scenie nie-

mieckiej dramat p. t. Marek Aureli, wzięty za paszkwil uszczypliwy na Józefa II., uciekać musiał z galicyjskiej stolicy; nie będę o tem wszystkim wspominał z osobna, bo nie starczą na to skromne ramy mego odczytu. Nie będę również charakteryzował współczesnego towarzystwa niemieckiego we Lwowie, złożonego przeważnie z żywiołów bardzo wątpliwych i bardzo zagadkowych, zamilczę o Kortumach, Kratterach, Testmajerach *e tutti quanti*, bo wkroczyć bym musiał na pole wspomnień politycznych. Natomiast przejdę do kilku innych rysów towarzystwa lwowskiego.

Zdarzało się, że jakaś sprawa osobista wzbudzała powszechne zajęcie, wywoływała zacięte dyskusye, dzieliła ówczesne towarzystwo na wprost przeciwne sobie stronnictwa — a kończyła się przecież hucznym epilogiem zgody. Taką była sprawa xięcia jenerała Adama Ponińskiego, który z zarzutów czynionych mu po powstaniu Kościuszkowskiem tłumaczył się przed sądem, złożonym z oficerów polskich. Było to w r. 1795. Sąd ten zmienił się w formalny festyn dla towarzystwa lwowskiego. Odbывał się on w ka-

synie Hechta, o którym już wspominałem szanownym słuchaczom. Sąd przyszedł do skutku za pośrednictwem dwóch głównych przewodzców towarzystwa, Kazimierza Rzewuskiego i Michała Wielhorskiego. Tak dalece sprawą tą zaciekawione było towarzystwo lwowskie, że galerye w sali balowej Hechta musiano ustąpić damom. Cały też piękny świat pospieszył tam jakby na najciekawsze widowisko — a wyrok uniewinniający eleganckie galerye powitały salwami oklasków. Zakończono ucztą, wiwatami, i jak jeden z współczesnych świadków skrupulatnie dodaje, tyśiąc butelek szampana wypito.

Jakkolwiek w najogólniejszych tylko rysach szkicuję tu obraz towarzystwa lwowskiego w ostatnich latach XVIII wieku, nie mogę przecież pominąć tu takich osobistości, jak mecenas Dzierzkowski i Węgleński. Mecenas Węgleński, późniejszy minister Xięstwa Warszawskiego, znanym był we Lwowie jako człowiek bardzo wesoły i lubiący zabawy, a że i sam je doskonale urządzać umiał, więc nie brakło go nigdzie, gdzie się dobrze bawiono. On to wybudował i nazwał Pohulanekę, która to nazwa wówczas nie była

czczem tylko słowem, bo ustron ta służyła istotnie za widownię towarzyskiej ochoty; od tego też mecenasa otrzymał swe nazwanie lasek Węgłęński. Pan mecenas Dzierzkowski należał znowu do najpoważniejszych i najznakomitszych osobistości lwowskich; wykształceniem towarzyskiem, nauką, wpływem swoim zajmował w towarzystwie lwowskiem niepoślednie stanowisko, a z wielu pierwszorzędnymi domami wiązały go stosunki przyjacielskie.

Wspominając o Dzierzkowskim muszę bodaj krótkimi słowy dotknąć jednej, tym razem pięknej i dodatniej strony towarzystwa lwowskiego. Mam tu na myśli udział i żywe poparcie dla powstania Kościuszkowskiego. Mimo argusowego nadzoru władz rządowych, istniał tu komitet, który ile możności popierał ostatnie usiłowania narodu. W gronie tych szlachetnych obywateli zajmował jedno z najznaczniejszych miejsc mecenas Dzierzkowski; składało się zaś ono z następujących osób, przebywających wówczas we Lwowie: z generała Rymkiewicza, Kriegera, hr. Lewickiego, senatora Ogińskiego, Prozora, Koziella, Wegetynowskiego





i innych. Przekradał się do nich z poleceniami od Kościuszki p. szef Drzewiecki, w rozmaitych przebraniach i pod rozmaitemi nazwiskami.

Za wpływem tych osób wiele Galicya mogła zrobić dla powstania; a niejeden młody elegant, co dotąd podbijał tylko serca i narażał się na artyleryę pięknych oczu, opuszczał salony lwowskie i stawiał przed rossyjskimi armatami. W animowaniu młodzieży galicyjskiej do stawania w szeregach narodowych, mieli powyżsi panowie pomoc, któżby się tego spodziewał? ze strony p. gubernatora Galicyi, hr. Gallenberga; on to bowiem otwarcie powiedział Drzewieckiemu: „Może Waćpan zabierzesz z sobą tutejszą na braku wojującą młodzież, która nam tylko niepokoju przyrnaża?”

Nie podobna mi zakończyć tego krótkiego szkicu, nie wspomniawszy przedtem bodaj pobieżnie o znakomitym i zasłużonym mężu, który właśnie w ostatnich latach minionego stulecia przebywał we Lwowie, a którego wpływ na tutejszą ludność polską wysokiej był wagi. Mam tu na myśli Wojciecha Bogusławskiego i jego teatr.

Imię tego skromnego dyrektora sceny stało się historycznem, jako twórcy sceny narodowej i krzewiciela polskiej myśli właśnie w porze, kiedy się wszystko na jej zgubę sprzy sięgać zdawało, kiedy Polska cała przedstawiała widok najsmutniejszego rozbicia, tj. właśnie w pierwszych latach porozbiorowych.

Bogusławski i teatr jego należą do pięknych wspomnień z historyi społeczności lwowskiej. Czystem słowem polskiem, żywym uczuciem narodowym, przekradanem przez strażę cenzury niemieckiej pod najrozmaitszymi maskami, wdzięczną i krzepiącą nutą ojczystej pieśni, karmił on dusze i serca ludności lwowskiej, która wówczas z polskiem swem życiem kryć się musiała w zacisze ścian domowych... On to po upadku powstania Kościuszkowskiego, utworem zamaskowanym historią peruwiańską, t. j. melodramatem „Izka har, król Guaxary,“ zawierającym allegoryę wymowną bolesnych dziejów Polski, poruszył serca i patryotycznym uczuciem zapalił dusze polskiej ludności we Lwowie.

Letni teatr Bogusławskiego niesłychanie miał powodzenie. Wystawił go Bogusławski w ogrodzie Jabłonowskich, który obok dzi-

siejszych wałów hetmańskich, przemienionych właśnie wówczas w promenadę przez p. gubernialratha Reitzenheima, najulubieńszem był miejscem przechadzek dla Lwowian. Miał ten ogród zresztą dla towarzystwa lwowskiego osobne pamiątkowe znaczenie, tu bowiem za osobistem pośrednictwem cesarza Józefa II. pojednały się z sobą dwie śmiertelnie poważnione damy lwowskie, pani kasztelanowa Konstancya Bielska z swoją pasierbicą Teofilą, który to akt w ulotnych, a bardzo pompatycznych wierszach opiewali rymopisy lwowscy.

Otóż w jednym z czworoboków tego ogrodu splantowano ziemię na trzy, coraz wyższe amfiteatralne kondygnacye, z których oglądać miała publiczność dramatyczne widowiska. Na wykopanych tym sposobem podwyższeniach urządzano parter, nieco wyżej galeryę dam, a najwyżej tak zwany paradyż dla biednych amatorów sztuki Roscusa. Amfiteatr ten był ogromnych rozmiarów, ozdobiony połamanemi kolumnami i upadłemi kapitelami, naśladował ruiny świątyni starożytnej, a nie miał dachu. Proscenium wyobrażało świątynię, dźwiganą przez szesnaście

kolumn, a ocienioną konarami drzew naturalnych, rosnących w tem miejscu.

W tym to amfiteatrze, który budował włoski architekt Maraino, oglądał Lwów ów wspomniany już melodramat „I z k a h a r.” Sztukę tę odegrano z niesłychanym i niewidzianym we Lwowie przepychem. Figurowało w niej kilkuset żołnierzy austriackich, ubranych w stroje hiszpańskie, a arsenały dostarczyły kilkunastu dział.

Daleko wdzięczniejszym jednak efektem niż wszystkie te przybory przysłużył się widzom przypadek. Z powodu długich przygotowań przedstawienie przewlokło się do brzasku dnia. I oto w ostatnim akcie ujrzała publiczność prawdziwy wschód słońca, które okazało się nad proscenium, ozłacając promieniami swemi drzewa rosnące w pobliżu. Przedstawienie zaczęło się sztucznym wschodem słońca, a zakończyło prawdziwym. Ucieszona publiczność wracała do domu przy jasnem świetle wiosennego poranku...

O ruchu umysłowym głębszym nie ma nawet co wspominać, gdy się mówi o towarzystwie tak niestałem, tak fałującym, tak koczowniczem niemal, jakim było ówczesne



towarzystwo lwowskie. Osoby, którym nie obcy był poważniejszy ruch umysłowy, łatwoby policzyć było można. Należeli do nich głównie pp. Rzewuski i Wielhorski, dalej p. Kuropatnicki kasztelan Bełzki, mecenas Dzierzkowski, a z dam słynęły wykształceniem umysłowem a nawet uczonością panie Szeptycka, kasztelanowa przemyska, którą zwano Sevigné galicyjską, pani Lubomirska bawiąca w owych czasach także we Lwowie, o której mawiano, że umysł jej wzbudzał podziw Marmontela, pani wojewodzina Jabłonowska, umiejąca dokładnie język łaciński i staczająca w nim dysputy teologiczne, i w końcu pani kasztelanowa Kuropatnicka, którą towarzystwo lwowskie zwało drugą Drużbacką.

Po dokonany trzecim rozbiórce Polski, po jakim takim ustaleniu się nowych a ciężkich stosunków, Lwów się wyludnił; możne familie, które w nim szukały chwilowego schronienia, powróciły do stron rodzinnych, a tak po kilku latach wyjątkowej świetności towarzyskiej, Lwów znalazł się znowu w skromnych rozmiarach swego zwykłego życia. W każdym razie ostatnie lata ubiegłego stu-

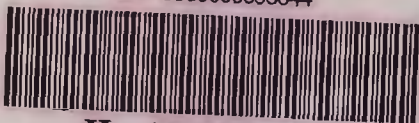


lecia złożyły się na jedną z najbardziej ciekawych kart w historyi towarzyskiego życia we Lwowie.

---

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000693644



II 72563

Z DRUKARNI ZAKŁADU NAROD. IMIENIA OSSOLIŃSKICH  
pod zarządem dzierżawcy Alex. Vogla.